

TEODOR ROOSEVELT O POLICJI NOWOJORSKIEJ.

W każdym państwie kulturalnym istnieją dwa rodzaje służby publicznej, wymagającej czysto żołnierskich przymiotów: męstwa, zimnej krwi, siły, zreczności i dyscypliny: te dwa rodzaje służby—to policja i straż ogniowa.

Teodor Roosevelt, który wprzód zanim został prezydentem Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, pełnił obowiązki prezydenta nowojorskiej policji, opublikował w swoim czasie w „The Century Magazine” nader zajmujące szczegóły o czynnościach nowojorskiej policji, poczytywanej i to nie bez słuszności, za wzorową.

Roosevelt, stanowiący na czele policji, natychmiast zabrał się do sanacji jej składu osobistego i w pracy swej z głębokim poczuciem wewnętrznego zadowolenia zaznacza, że usiłowania głównego zarządu policji zostały uwieńczone doskonałym skutkiem. Z dnia na dzień poczęła wzrastać liczba przestępstw wykrytych i przestępców aresztowanych i zdemaskowanych, a jednocześnie z tem zmniejszała się liczba złoczyńców „przypadłych, jak kamień w wodę”, po spełnionem przestępstwie. Doszło do tego, że sąd nowojorski, stwierdziwszy bystre i znaczne zmniejszenie się przestępstw w mieście, powińszował miejscowej policji tych zaszczytnych cyfr statystycznych.

W Nowym Jorku został przyjęty określony i ściśle opracowany system nagród, za wydatne czyny, spełnione przez policjantów. Każdy rodzaj nagrody: medal, list pochwalny czy też awans—bywa uprzednio szczegółowo krytycznie, roztrząsany w głównym zarządzie policji.

Roosevelt przytacza parę przykładów z działalności policjantów, których uznano za zasługujących na nagrodę.

Tak np. pewien weteran, jeszcze z czasów wojny domowej, będący na służbie w policji, jako zwyczajny posterunkowy (roundsman — objeżdżający, dozorca), wyratował tonącą kobietę. Wypadek ten sam przez się, nie przedstawiał nic osobliwego, ale, kiedy Roosevelt wdał się w gawędę z niepozornym tym starszym i przestudjował jego stan służby, to okazało się, że ma on do czynienia z prawdziwym bohaterem. Stary posterunkowy dokonał całego szeregu bohaterskich czynów, ale dotychczasowa administracja zdawała się nie wiedzieć o jego istnieniu, „ponieważ” był to prosty szeregowiec, stary służbista, o niczem innem nie wiedzący i „nic innego nie znający” prócz służby; a właśnie naówczas zwracało się specjalna uwagę na polityczne przekonania służących w policji i miało to dla ich kariery wielkie znaczenie; ludzi pewnych partji starano się popierać i zachęcać, polityczni ich przeciwnicy byli przesładowani, bezpartyjni zaś, w rodzaju owego starego weterana, byli tylko tolerowani, i to, jeno zważywszy niewątpliwie ich zasługi. Starzec otrzymał od Roosevelta natychmiast awans, nie bacząc na zupełny brak politycznych przekonań. „Nie wyobrażam sobie — powiada Roosevelt — aby wyratowana przezeń kobieta, w chwili, kiedy dopływał do niej, bardzo zajmowała się tą sprawą, za kim on głosował, czy za Clevelandem czy za Harrisonem, to też i my nie zajmowaliśmy się tem”.

W innym znów wypadku, policjant został nagrodzony za aresztowanie nocnego rabusia, dokonane w nadwyzwyczajnych warunkach. Owego bandytę, ścigany przez policjanta, znalazł się na ulicy, gdzie widniał wylot podziemnej miejskiej kolejki. Wiedząc że go areszt nie minie, rabus zdecydował się na rozpaczliwy tour de force: w rozpędzie skoczył do wylotu i runął w dół, na tor podziemnej drogi żelaznej. Ścisłe rzecz biorąc, policjant wcale nie był obowiązany ryzykować życia w tak okropny sposób, jak to uczynił bandyta, który dla ocalenia własnej skóry, wszystko postawił na kartę. Nie mniej jednak, policjant bynajmniej się nie namyślał i w jednej chwili runął za nim. Tym razem jednak Opatrzności spodobało się ukarać zbrodnię i nagrodzić cnotę; bandyta doznał poważnego szwanku, a stróż porządku publicznego pozostał cały i nieuszkodzony.

Alle w całym szeregu zaszczytnych czynów swych podwładnych, dyrekcja policji nawet nie uznawała za właściwe wyróżnić ich przysądzeniem specjalnej nagrody; dowodzi to jaknajwyraźniej wysokości wymagań, stawianych w New-Yorku funkcjonariuszom policji i wybitnych zalet obecnego jej personelu. Zdarzyło się raz np. że oficer policji ocalił kilkadziesiąt osób od śmierci w ogniu. Pożar wybuchł w domu, zajętem na pokoje umeblowane. Wbiegłszy do gore-

jącego domu, oficer dostrzegł, że prawie we wszystkich pokojach mieszkańcy zachowują się jaknajspokojniej, nie zdając sobie oczywiście sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa. Wypędził ich jaknajenergiczniej. Ale podczas, gdy biegł po pokojach, zaglądając we wszystkie kąty i zakamarki, kiedy już wszyscy, mieszkańcy zdolałi się ocalić, nagle płomień i dym wtargnęły w głąb mieszkania, w którym się właśnie znajdował i tylko dzięki nieludzkim wysiłkom, udało mu się jako tako dostać do schodów, po których, już pozbawiony przytomności, literalnie stoczył się na dół; tam go podjęto, całego poparzonego i pokaleczonego i odwieziono do szpitala.

Ale na szczególniejszą uwagę zasługuje wypadek następujący: Cztery kobiety, z których dwie w podeszłym wieku i jedna z dzieckiem na ręku, zostały objęte pożarem, w jednym z mieszkań, położonych na czwartym piętrze. Policjant, który przybiegł dostrzegłszy pożar, od razu zorjentował się, jakie niebezpieczeństwo im zagraża i natychmiast obmyślił cały plan ratunku. Zauważył mianowicie, że okno z ich pokoju znajduje się tuż obok okna domu, sąsiadującego z domem przez pożar objętym. Wbiegł do tego domu, wydostał się przez okno i trzymając się ramy okiennej, przeszedł po wązkim trzycalowym gzymsie do sąsiedniego okna płonącego domu. Następnie wyprowadził z tego okna, jedną po drugiej wszystkie cztery kobiety i przeprowadził je do sąsiedniego okna, chwytając się lewą ręką za jego ramię, a prawą obejmując ratowane kobiety. Rzecz prosta, że taka ekwilibrystyka powiodła mu się szczęśliwie tylko dzięki tej błogosławionej okoliczności, że oba okna znajdowały się w jednym rzędzie i to zupełnie blisko, jedno obok drugiego. Niemniej jednak taka przechadzka po wążuichnym gzymsie, w towarzystwie napół ze strachu zmartwiałych niewiast, na wysokości, z górą siedmiu sążni, wymagała zupełnego panowania nad sobą, odwagi i znacznej fizycznej siły. Na baczność zasługuje jeszcze fakt, że uratowawszy życie owym niewiastom, nasz bohater nie poprzestał na tem i nie spoczął od razu na laurach; zajął się on natychmiast zbadaniem na miejscu przyczyn pożaru i udało mu się je wykryć w zupełności.

Policja amerykańska ma prawo posługiwać się bronią palną, o ile sama uzna to za wskazane; to też zdarza się, aczkolwiek nie często miewa to miejsce, że policjant kładzie na miejscu trupa przestępcę, o ile ten stawia mu opór z bronią w ręku. Yankesi bynajmniej nie gorszą się takim skróconym trybem wymiaru sprawiedliwości; uważają, że mają do tego prawo. Takim sposobem poległ O'Conner, irlandczyk, arcy niebezpieczny bandyta, śledzony przez policjanta Reada: wystrzelił doń z rewolweru, raniąc go w lewe ramię; Read z kolei wypalił, raniąc śmiertelnie zbrojną, który niebawem zakończył życie w szpitalu. Wogóle, nowojorscy policjanci strzelają znakomicie i nie ma w tem nic dziwnego, ponieważ centralna dyrekcja policji zorganizowała szkołę strzelniczą, w której nauczycielami są prawdziwi artyści, wirtuozowie rewolweru.

Oprócz oddziałów policji pieszej, istnieją jeszcze w New-Yorku oddziały policji konnej oraz rowerzystów. Naturalnie, że policja konna rekrutuje się z doskonałych jeźdźców, a rowerzyści są prawdziwymi sztukmistrzami, uprawiającymi niemal że cyrkową ekwilibrystkę. Oba te rodzaje agentów policyjnych raz po raz składają dowody swej pożyteczności, zwłaszcza przy zatrzymywaniu rozbieganych koni. Jeden z takich policyjnych rowerzystów dokonał pewnego razu prawdziwie mistrzowskiej sztuki; zaareztował on pijanego woźnicę; który, oszalały z pijatyki, gnał co koń wyskoczy, zagrażając całemu ruchowi ulicznemu; rowerzysta dopędził go, pochwycił konia przy pysku, osadził go, nie bacząc na rozpaczliwy opór rozwścieczonego pijaka i zaprowadził go do najbliższego komisariatu.

Pracę Rosevelta dopełniają inne źródła, charakteryzujące działalność nowojorskiej tajnej policji. Oto jedna z najciekawszych sprawek przebiegłego agenta. Z Europy do Ameryki przywozi się nie mało kontrabandy na okrętach, którą tak sprytnie się ukrywa i zrecznie przenosi na brzeg, że funkcjonariusze komory celnej nie bywają sami w możności dopilnować wszystkiego; to też do pomocy wyznaczają im zazwyczaj agentów tajnej policji.

Zdarzyło się pewnego razu, że jeden z nich

jaknajskrupulatniej zrewidował parowiec francuski, który zawinął do nowojorskiego portu, nie dostrzegłszy na nim nic podejrzanego, agent już miał zamiar zakończyć swe czynności. Wtem przeniesiono koło niego jakąś dużą skrzynię, na którą przedtem nie zwrócił uwagi. Zapragnął dowiedzieć się, co zawiera ta skrzynia. — „Umarłego” — odpowiedziano mu. — Obywatel Stanów Zjednoczonych udał się do Europy i tam zakończył żywot doczesny; rodzina, rządząc się poczuciem chrześcijańskiego obowiązku, zapragnęła pogrzebać jego ciało, w ojczystej ziemi”. Pomimo to, na żądanie agenta, otwarto skrzynię. Znalazła się w niej trumna, a w trumnie nieboszczyk, którego ciało podległo już znacznie posuniętej korupcji. I na tem owa historia tym razem się zakończyła. Po pewnym czasie znowu do nowojorskiego portu zawinął francuski parostatek i ten sam agent dostrzegł na nim znowu podobną skrzynię... „Co zawiera w sobie ta skrzynia”? — „Umarłego. Obywatel Stanów Zjednoczonych udał się do Europy” i t. d., znowu ta sama historia, na temat podniosłych uczuć, pozostałych w Ameryce jego krewnych.

Co to za osobliwy mór padł na obywateli amerykańskich, podróżujących po Europie... pomyślał agent i począł nalegać, aby mu otwarto skrzynię. Znalazła się w niej trumna, a w trumnie nieboszczyk... prawdziwy nieboszczyk. Ale wieko trumny, nie było jednak, jak zazwyczaj, przybite, lecz przytwierdzone na wytwornych zawiasach. I oto agentowi przyszło do głowy odjąć zupełnie wieko od trumny. Podniesiono je do góry... i nagle wraz z niem podniósł się i sam nieboszczyk; był on sfabrykowany z papier maché. W jego wnętrzościach znaleziono skrzynki i pudełka, a w nich samych brukselskich koronek za 150 tysięcy dolarów.

W nowojorskich teatrach często dostrzedz można arcy wytwornie odzianych dżentelmenów, bacznie lustrujących wchodzącą publiczność. I nikomu do głowy nie przychodzi, że owi dżentelmeni są to agenci wydziału śledczego. I zachodzi nieraz taka okoliczność, że nagle wzywają oni do siebie kogoś z publiczności; mówią mu po cichu parę słów i zainterpelowany jęgośność natychmiast wychodzi z teatru. O co to chodziło? a no o to, że ów widz, co się tak potulnie wydalił z teatru, to był złodziej kieszonkowy, dobrze znany agentowi i ów po przyjacielsku poradził mu wyjście na świeże powietrze.

Kiedy indziej znów, agent wpuszcza dwu, trzech złodziei kieszonkowych i pozwala im zająć miejsca pośród widzów. Dowodzi to, że otrzymał on właśnie wiadomość o przybyciu z Europy artystów kieszonkowych, którzy, o ile nie zawodzi go przecucie albo też otrzymane wiadomości, na pierwszy występ winni udać się do teatru. Sam on nie ma zazwyczaj znać ich osobiście. Ale doświadczeni, miejscowi, swoi złodzieje niewątpliwie zauważą kolegów i będą umieli sparaliżować ich działalność: są to w każdym razie konkurenci.

Niestety, w New-Yorku, obok rządowej tajnej policji, istnieją jeszcze prywatne agencje śledcze. Jest to zaiste prawdziwy wrzód społeczny. Agenci owych szanownych przedsiębiorców są osobnikami bez skrupułów i sumienia, nie mający absolutnie nic innego na względzie, oprócz pościgu za dolarami, mają niewyczerpaną kopalnię zazdrośnych mężów, których interesuje konduita flirtujących żon i żon, które lubią deptać po piętach motylkujących swych mężuików. Wszystko tu jest oparte na tajemnicach życia prywatnego, szpiegostwie i szantażu. Umieją oni naprzykład wmówić w bogatego kupca, że jego magazynowi zagraża napad bandytów; zawiadamia go o tem w tajemniczy sposób jakiś nieznajomy, zapewniający, że sam słyszał, jak się zrywali, na jaką mianowicie noc napad został wyznaczony, co przedewszystkiem zrabować pragną, a nawet gdzie zrabowany towar zbyć zamierzają. Niedomyślny kupiec, zgębiony temi drobniactwami, szczegółowymi wiadomościami, poleca sprytnemu agentowi prywatnej policji śledczej strzedz sklepu przed bandytami, urządzić w nim zreczną zasadzkę, pojmać, zdemaskować i t. d. Nie żałuje na to wszystko pieniędzy. Naturalnie, że zarówno zasadzka, jak i napad zostają zorganizowane bez zarzutu, z zachowaniem jaknajwiększego prawdopodobieństwa; ale, rzecz prosta, że zarówno napadający, jak i obrońcy stanowią jedną szajkę, która doskonale odgrywa zrecznie wyreżyserowaną komedję.